

DZIENNIK MÓD PARYSKICH.



Lwów, 8 kwietnia 1847.

Rok ósmy.

Wychodzi co drugi czwartek regularnie; do każdego numeru dołączona jest rycina mód paryskich z dokładnym opisem. Kosztuje w miejscu półrocznie 5 złr. 15 kr.; całorocznie 10 złr. m. k.; na prowincji dolicza się przesyłka pocztowa do cen powyższych półrocznie 48 kr. m. k. Prenumerować można we wszystkich urzędach pocztowych, tudzież w redakcji pod nrem 301.; we Lwowie.

M O D Y.

Lwów, dnia 25 marca 1847.

Stroje damskie. Stroje jakieśmy widzieli przygotowane do *Longchamps* są następujące: Suknia z włoskiej liliowego koloru kitajki, z dwoma spodnicami, z których dłuższa, obszyta wokół trzy razy szlarkami z tej samej co suknie materii, w rurki układanemi; krótsza zaś otwarta z przodu i dwa razy szlarką rurkowaną obszyta; stanik gładki, półwysoki, z potrójnym szwem; rękawy gładkie. Suknia z błękitnej materii, szeroką korunką obszyta, która po lewej stronie fontaziem z błękitnej wstążki podpięta; stanik gładki, przez całą długość otwarty i korunką obsyty; biały krepowy kapelusz z długim białym piórem. Suknia z materii mieniowej w trzy kolory, ze stanikiem kończastym i gładkimi rękawami; spodnica ozdobiona pięcioma ukosami na cztery całe szerokiemi i jeden na drugim położonemi; redyngocik z materii glansowanej, z szerokimi rękawami i spodnicą obszytą korunką czarną; różowa krepowa kapotka, bukietem z drobnych kwiatów ubrana.

W wielu składach widzieć już można kapelusze wiośniane; są to po największej części przezroczyście słomki, mieszane z korunkami; śliczne krepowe kaputki całkiem pokryte korunką, gazowe kaputki i t. p.

Stroje męskie. Chociaż zimno i śnieg powtórnie do nas zawitały, możemy jednak wkrótce spodziewać się wiosny, a tem samem wspomnieć już nieco o materiałach lekkich, w które niebawem ubierać się będziemy.

Wszelkie sukna są po największej części w kolorach ciemnych, kolorów jaskrawych nigdzie prawie spostrzedz nie można. Czarny tak zwany kolor angielski, oliwkowy, zielonawo-bronзовый, ciemno-granatowy, ciemno-fioletowy i błękitny królewski są bardziej niż wszelkie inne używane.

Materie na spodnie są następujące: Gładka wełniana tkanina w duże kraty, przedzielone czterema tylko nitkami. Materia w prążki przerabiana czarne z białem. Materia mieniona, w duże kraty i podobna do piki cieniowanej. Kazimirek w kraty błękitne, zielone i bardzo jasno błękitne. Materia chińska w pasy popielate, błękitne i białe.

Materie na kamizelki są po największej części także w kraty, najczęściej ciemne jakoto: zielone, brązowe, czarne lub orzechowe.

Rycina przedstawia: Redyngocik z *poult de soie* popielatego koloru, z spodnicą do kolan otwartą, i obszytą korunką i fontaziami ubraną; pod spodem spodnica batystowa haftowana, stanik pół wysoki, z przodu do połowy otwarty, obłożony korunką; rękawy gładkie, półdługie; drugie muszlinowe, haftowane, bez mankietków; czepeczek korunkowy, trzy razy szlarką korunkową obsyty, fontaziami z ponsowej wstążki ubrany i na środku głowy mający duży fontaż z długimi końcami.

Suknia jedwabna nankinowego koloru, w przodzie krepiną przystrojona; stanik gładki, wysoko zachodzący i krepiną obsyty; rękawy gładkie z wyłogami i żokejami; tyfetykowy rańtuch; błękitny kapelusz z korunkową półzasłoną i z błękitnymi wstążkami. Trzecia figura: surdut o dwóch rzędach guzików.

SALON I ULICA.

Obrazek z życia przez Józefa Dzierżkowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Nie mogę przenieść na sobie, bym choć kilka rysami nie odcieniował tej sceny tak często przychodzącej w życiu biednego, gdy nasza Bogunia

z swą zieloną sukienką stanęła przed Franciszkową, która miała głośny sklepik z powrozami, zapalkami i wiązkami drzewa, a potajemny prowadziła handelek lichewką, przyjmowaniem zastaw i czemsić gorszem jeszcze, jak to na ucho rozpowiadały sobie gadatliwe sąsiadki.

Była to stara już kobieta, tak doskonale sucha, chuda i przezroczysta prawie, że gdyby nie wielkie siwe a latające wkoło oczy, podobniejsza byłaby do zeschniętego trupa, niżeli do ludzkiego stworzenia.

Bogunia ledwo się dopukała, bo sklepik był już zamknięty, a pani Franciszkowa siedziała w tylnej części domu, gdzie się zwykle odbywały inne części jej handlu. Usłyszała nareszcie kroki idących, i przy świetle kaganka, trzymanego przez samą Franciszkową, zajrzała męzczyznę zawiniętego w szeroki płaszcz, który się z domku wymknął na ulicę, rzuciwszy jednakże kilka razy wzrok swój z pod kapelusza łyszczący na piękną dziewczyny twarzyczkę.

— A to ty serdeńko! przemówiła Franciszkowa, prowadząc Bogunię do swoich pokoików.

A widok tych dwóch maleńkich pokoików był nader ciekawy; wszystkie bowiem sprzęty konieczne, jakoto: łóżko, jakaś sofka, komoda i krzesła nikły prawie pod zasłoną wiszącej z poważy jakby girlandy olbrzymiej, której różnobarwność kwiatową stanowiły same suknie, szlafroczyki, chustki i płaszczyki niewieście, a jednostajną ciemność liści wyobrażały suknie męskie. Wisiały razem w bezładzie smutnym, prochem osypane, i tylko odznaczone białymi kartkami przyczepionymi do nich, te wszystkie nie wykwiśnięte stroje, ale ubiory koniecznej potrzeby, które konieczniejsza jeszcze głodu potrzeba zaniosiła do pani Franciszkowej. Niektóre warstwy tego smutnego zbioru pajęczyna osnuła siećmi swemi; są to zapewne przypadłe już fanty, których właściciele dawnych albo śmierć, albo niczem już niewyleczona nędza na zawsze w swe nieprzebyte złapały sieci. Tu i owdzie wygląda sukienka jaskrawej barwy, zgrabniejszego kroju, z wytworniejszej materii; te smutniejsze jeszcze robią wrażenie, gdy przyjdzie na myśl, z jakim ściśnieniem serca młode ich właścicielki, którym w nich tak było może do twarzy, przynosiły je do tego składu, do tej przepaści, którą rosnąca codzien lichwa coraz głębiej wykopuje. I piękna sukienka butwieje, a prędzej może speliły zdrowe barwy i wdzięki jej właścicielki, bo nędza niech tylko raz zacznie od sukni, wnet weźmie się i do ciała i do duszy nawet.

— Coż cię tu do mnie sprowadza, mój ty kulawy

aniolku? zagadła znowu Franciszkowa. Jak się tam macie w domu? co porabia majster?

— Ja tu przyszedłam matko z prośbą...

— O wiem! wiem! zawsze u was cnotliwie i goło... przyszedł znowu z zieloną sukienką swoją...

— Jakże wiecie? zapytała naiwnie dziewczyna, która wchodząc była suknię schowała pod chustkę. Ja ją ledwie kilka razy miałam na sobie.

— Ale za to tem częściej była u mnie... no! no! dawaj; ja ją tu powieszę między znajomymi w tym kącie.

Było kąciek przez porządną panią Franciszkową przeznaczony na te wszystkie zastawy, które jak wiedziała z doświadczenia, ciągle przemieniają miejsce; zastawy wędrujące jak je nazywała, które kilkanaście razy do roku odbywają tę smutną wędrowkę tam i nazad.

Nastąpił targ, bo za każdym razem inne podawała ceny zacna Franciszkowa.

— Ależ matko! przeszłym razem dałyście mi sześć reńskich.

— A pozaproszonym razem dałam siedm; teraz nie dam tylko pięć.

— Ja od tego czasu nie miałam jej na sobie....

— Ale zawsze psuje się i pełnie suknia przez sam czas; a potem mój ty kulasiku, ta sukienka letnia, a my teraz jeszcze prawie w zimie jesteśmy, terazby płaszczyk jaki taki, albo chustka popłacały więcej daleko; taki letni łachman może leżeć bóg wie jak długo... A z resztą jak chcesz, bierz, albo nie bierz...

— Dajcie już! dajcie!... bo mi spieszno.

— Zaraz! zaraz! odpowiedziała Franciszkowa, i dobywszy kieszeni skórzanej, która wraz z pękiem kluczy wisiała u pasa, zaczęła z mnóstwa drobniejszej i większej monety dobywać same najgorsze, najwięcej obcięte i podziurawione dwudziestówki.

— Ot powiem ci moja lubko... że głupia jesteś... zastawiać z siebie suknie dla tego...

— Dla ojca mego!... przerwała szybko Bogunia.

— Oj gdyby ty chciała mieć rozum... miałabyś i sukienki piękne, i chusteczki jedwabne, i kapelusik axamitny... i pieniążków dosyć...

— Dawajcie matko prędzej, bo ojciec jeszcze dziś nie jadł.

— Niewiele i ty jadła... durne z ciebie stworzenie!... Źu!... czekaj! czekaj! raz... dwa... trzy... a znałaś ty Karolcię?

— Córkę Kazimirzowej mączarki?

— Aha! Ani byś ją nie poznała teraz... jeździ fiakrem... chodzi w samych jedwabkach... bywa w

teatrze... a pieniądze przechodzą jej jak lód przez ręce.

— Czy poszła za męża?

— Otbyś durną nie udawała!... wiem ja dobrze, że do ciebie biega tam jakiś blondyn.

Dziewczyna zarumieniła się po uszy.

— To znajomy mego ojca... malarz!...

— Nie do majstra on chodzi, ale do majstrównej.

— On się ze mną chce żenić...

— Bodaj ja tak z nosem była... a potem coż to szkodzi; jeżeli on na męża chodzi do ciebie, to lepiej, a przez to mogłabyś mieć takie kulczyki brylantowe, złote pierścienie... jak Karolcia, której żółta sukienka tu przed rokiem za trzy reńskie wisiała...

— Dajcie matko pieniądze... ja już iść muszę.

— Zaraz! zaraz! niech porachuję... cztery... to trzy i dwadzieścia... Słuchajno Bogumiłko... ty choć kulawa, mogłabyś być i ludziom miła... żebyś tylko miała rozum, a mnie posłuchała... Malarza swego, jeżeli to malarz, bo on mi coś bardzo po paniczowski wygląda... nie stracisz przez to... pysio masz ładne... szkoda ciebie... trzy i dwadzieścia a dwadzieścia, to trzy i czterdzieści, a pięćdziesiąt... Czy uważałaś tego panicza co to wyszedł teraz odemnie... śliczne panisko... a bogaty!

— Dajcie mi pokój matko! skończcie ten rachunek... co mi tam do panów... Oni mają swoje hrabiny i hrabianki... ja szewcówna nie dla nich...

— No! no!... pysiuniu! tylko się nie gniewaj! i suchą swą brudną a pomarszczoną ręką pogłaskala zapłonione lica biednej Boguni, która stała jak na szpilkach. Cztery i trzydzieści, a trzydzieści... pomyslnie jaka tam u was nędza... głód, zimno... nie ma co jeść, w co się odziać, czem w piecu zapalić... a posłuchaj mię tylko... będziesz oplywać w dostatkach...

— Słuchajcieno Franciszkowo! nie pierwszy raz ja słyszę od was takie słowa... nie chcę ja wierzyć co sąsiadki o was gadają...

— Co! wrzasła zapyrzona Franciszkowa; co te głupie babska śmieją o mnie gadać... ja jestem uczciwa kobieta... płacę mój podatek... nikomu grosza nie jestem winna... głupie baby!... a same toby się za kwartę piwa przedały... Boguniu! ja ci powiadam, miej rozum!...

— Przestańcie Franciszkowo! ja jestem biedna dziewczyna, ale bóg widzi i wy wiecie najlepiej, że mi uczciwość droższa nad życie.

— Ou! wa! głupiaś z cnotą twoją... zobaczymy! zobaczymy! jak to daleko zajdzie z twoim malarzem

bladym. On cię porzuci! przyjdiesz ty jeszcze głupie cielątko do mnie... ale to już będzie za późno.

— Nigdy! nigdy!... Jeżeli się wasze przepowiednie ziszczą, to wolę się utopić.

Porwała biedna dziewczyna za pieniądze i wybiegła... Na ulicę wyszedłszy zdało się jej, że ten sam mężczyzna owinięty w płaszcz stał na rogu jeszcze; tem więc prędzej jeszcze, choć kulawą nogą pobiegła do sklepiku z bułkami i chlebem, i nakupiwszy czego potrzebowała, wpadła do ojca zadyzana.

Franciszkowa tymczasem kiwała głową i mruzczyła za nią przekleństwa, gdy się znowu drzwi odchyliły, i mężczyzna płaszczem owinięty wszedł nazad do niej.

— Jasny hrabia! wrzasła Franciszkowa, puszczać na ziemię zieloną sukienkę Boguni.

— Cicho! cicho!... to śliczna dziewczyna!

— Jak pomarańcza! odpowiedziała Franciszkowa i złośliwym uśmiechem wyszczerzyła czarne zęby swoje.

— Słuchajno moja ty czarownico przedmiejska... mówił dalej pan i zaczął ciszej do niej przemawiać.

Rzućmy zasłonę na tę brudną rozmowę; wszak już dosyć dowiedzieliśmy się, by zrozumieć, że zacna Franciszkowa należała do rzędu tych pikietów forpocztowych, które zepsucie miasta wysłała na przedmieścia, by werbowały nowe ofiary dla nigdy nienasyconej rozpusty miejskiej.

A ten pan nie pierwszy i nie ostatni, mimo ciemnej nocy i mroźnego wiatru wybiegał na dalekie przedmieście, by dogodzić brudnym żądom swoim. Nie takby łatwo przyszło wyprowadzić takiego panicza z ciepłego i wygodnego salonu na tożsame przedmieście, gdyby szło o zanieśenie pomocy, zamiast zbrodni i zepsucia, pod strzechy ubogie biednego gminu. A niechże nędza zmęczy taką biedną dziewczynę, namowa ją uludzi, a później w rozpacz nad skutkami płochego kroku, niech się dopuści zbrodni na sobie, lub na niemowlęciu, którego nie ma czem karmić; jaki krzyk powstanie na zepsucie obyczajów w pospólstwie!...

W chacie szewca Karosza tymczasem odbywał się festyn niepospolity. Był bowiem chleb, masło, kawał spory kielbasy, a nawet faszeczka wódki, której córka pamiętna na nawyczki ojca nie zapomiała. To też majster używał niepospolicie darów bożych, a wpadł w różowy humor.

— Poczciwa Bogunia! powtarzał co chwila między jednym a drugim kawalkiem.

Bogunia zaś ledwie się dotknęła sutego jada,

i siedziała zamyślona, a nawet jakiś cień smutku osiadł na jej twarzy.

— Ale! ale! ozwał się nagle Karosz; czy wiesz jakie miałem zabawne zdybanie?..

Zadrzała dziewczyna.

— Zdybanie? zapytała z mimowolnym strachem.

— Szedłem szeroką ulicą, gdy nagle na rogu skarambolowałem z jakimś paniczem w płaszczyku hiszpańskim, z kapeluszem błyszczącym na głowie; zgola wyglądał po wierzchu na takiego półglówka, jakich tu niemało biega po bruku miejskim... a byłem w fatalnym humorze... bo tak jakoś zawsze, kiedy przechodzę koło tego starego domu z matką boską, ściska mi się serce... zabaćkali te śliczne ciosowe kamienie, zamazali twarz boskiej rodzicielki... i to się u nich nazywa odnowić dom... głupcy!

— I coż! zapytała niecierpliwa dziewczyna.

— Po prawdzie, nie! zupełnie nie!... o tak mi coś do głowy przyleciało... panicz mruknął coś po francusku, zwyczajnie jak panicz wielkiego świata, który wstydzi się naszego języka... ja chciałem już odpowiedzieć po polsku, prosto z mosta, gdy... ale to głupstwo!... głupstwo!... ot ja w tej chwili myślałem podobno o Wojciechowej, i trzęsło mnie jakby frebra.

— Ale dokończże ojeze!

— Powiadam ci Boguniu że głupstwo... i pan majster tyknął wódeczki, patrząc z tęsknotą na niknący już w flaszeczce zapas tego lubego truneczku... Odsonił się paniczowi płaszcz... a ja zamilkłem, bo zdało mi się, że poznałem... ha! ha! ha!...

— Kogo?

— Konstantego!

— Kogo? powtórzyła dziewczyna z wyrazem przestachu.

— Malarza naszego.

— To on był? zawołała Bogunia i skoczyła z miejsca.

— Ale gdzie tam! to mi się tak tylko musiało zdawać... bo mi się przecie nie uklonił nawet... zawiął nazad płaszcz i pobiegł dalej.

— Nie uklonił się?...

— A pod płaszczem miał fraczek elegancki...

— Fraczek! powtórzyła dziewczyna, i w coraz głębsze wpadała zamyślenie.

— I wszedł... do tego domu starego... do tego samego domu... mówił dalej Karosz cichszym głosem, jakby do samego siebie... z kąd tyle miłych i tyle okropnych wyszczerza się do mnie pamiętek.

I oboje milczeli.

— A może to i on... przemówił po chwili Karosz

cichym zawsze głosem... dla tych paniczów miejskich szczęście i cnota dziewczyny z ludu mniej znaczy od psa ulicznego, którego się nogą odtrąca!

— To nie on był! zawołała dziewczyna nagle... on mnie tak kocha, on jest szczery dla mnie...

— Miałoby nowe nieszczęście spaść na mnie... i ten dom błogosławiony, ten dom przeklęty... należyć do tego znowu...

— Prawda ojeze, że to nie on...

— Trzeba jednakże raz już skończyć... wszak on tobie przyrzekł, że się ożeni...

— I wiele razy!... on czeka tylko na zezwolenie rodziców, którzy mieszkają w Rosii.

— Daj boże, byś już jak najprędzej poszła za niego... Bóg widzi, jakbym rad temu... choć mi będzie samotnie w moim domku biednym bez pocziwej Boguni... ale byles tylko poszła za męża... i to nie za rzemieślnika, któryby się kiedyś upił i... znowu...

Bogunia nie dała dokończyć ojcu; czułym pocałunkiem zamknęła mu usta.

— Ty nie jesteś stworzona, byś była żoną rzemieślnika... ten Konstanty choć ubogi malarz teraz... z czasem przyjdzie do znaczenia i pieniędzy... a moja Bogunia będzie panią i szczęśliwą!

— Szczęśliwą! zawołała dziewczyna i oczy się jej zaiskrzyły; ja go tak kocham... tak namiętnie kocham... Ach ojeze! to nie on był... gdyby mnie zdradził... jabym ojeze umarła...

— No! no! zobaczymy jutro; odpowiedział Karosz, i dokończywszy wódeczki poszedł do swego alkierza.

A Bogunia długo w noc siedziała i dumiała rozmaicie... Ona myślą przebiegła wszystkie koleje swojej miłości do malarza Konstantego... i dzień po dniu chwila po chwili rozwinęły się te dla młodej dziewczyny najczarowniejsze obrazy pierwszej miłości.

ROZDZIAŁ TRZECI.

Miłość i miłość.

Muszę tu nieco przerwać ciąg mej powieści, aby cofnąć się w tył, i opowiedzieć państwu kilka scen dawniejszych potrzebnych do zrozumienia całości.

Panna Kamilla, którą widzieliśmy jako kwestarkę w salonach Karlińskiego, przed laty szczęściem miała lat szesnaście, i mieszkała na wsi, w której się od dziecka chowała. Ona była sierota, straciła bowiem najprzód matkę a potem ojca w wieku tak dziecięnnym jeszcze, że ledwie później jak przez sen przypominała sobie twarze rodziców, którzy przecie serdecznie kochali to jedyne dziecko swoje, a umierali błogosławiąc je i

oddając opiece tego, który jeden jest opatrnością sierot. Bo i ktoż na ziemi może sierocie zastąpić serce matki, opiekuńcze ojca oko. Kto jest w stanie biedne dziecko tak popieścić jak matka, kto tak upilnować jak ojciec? Sieroctwo jest to nieszczęście, które ten tylko zrozumieć zdoła, kto zaznał cudzych opieki chłodnej. Rodzice Kamilli zostawili wielki majątek, rozliczne włości, bogate sprzęty i srebra, lecz serc swoich zostawić nie mogli. Matczyzna siostra rodzona, pani Raińska, wraz z mężem, zparaliżowanym na duszy i na ciele, znieśli się do domu sieroty, i umieli tak rzeczy zakierować, że z dodatkiem współopiekuna tytularnego, który był jak w bajce żab królem drewnianym, opieka osoby i majątku panny Kamilli została im oddana. Wszystkie na świecie rządy najrozsądniejsze szczygą się doskonałością urzędów opiekuńczych, a nie ma kraju, nie ma roku prawie, aby nowa w tym względzie niesprawiedliwość popełniona nie była; o sierocińskie majątki zawsze się dobijają tłumy opiekunów, a raz się do nich dostawszy, tłuką się po nich jak szare gęsi.

Pani Klementyna Raińska, bo sam pan Bonawentura Raiński był zerem tylko w domu własnym, była praktyczną mistrzynią w życiu, w którym z trzecim już mężem u boku, przez rozmaite przechodząc koleje, umiała zawsze cudzym żyć kosztem. Do tego miała talent niepospolity; i nieraz z żalem wyrzucała nieprzyjaźnemu sobie losowi, że ją nie wywiódł na szerszą widownię stołeczną, gdzieby mogła zdolności swoje w większym rozwinąć zakresie. Śmierć państwa Wilewskich otworzyła jej widnokrąg przyszłych nadziei; wprawdzie pan Wilewski ostatnią wolą swoją przeznaczył Żylinec, pyszną wieś, na pomieszkanie córki aż do lat siedmiastu, ale za to potem przewidywała pani Klementyna szereg lat w stolicy przepędzonych, i układała sobie plany najrozmaitsze, w których oczywiście pan Raiński, jak mówiliśmy ogólnym paraliżem dotknięty, tyle tylko zajmował miejsca, ile zabrać może pomnik grobowy, pod który spodziewała się pani Raińska wnet umieścić szanownego małżonka trzeciego.

Tymczasem zabrała się do wychowania pięcioletniej Kamilli, ślicznej jak anioł, i niezłej, choć trochę pieszczonej dziewczyny; a zabrała się do tego z całą sumiennością umysłu, umiającego doskonale wyrachowywać fizyczne liczby i moralne prawdopodobieństwa.

Wychowanie było świetne, godne zewszecmiar dziedziczki tylu włości, która z czasem miała być jedną z pierwszych partij w kraju.

Sprowadziła więc guwernantkę Francuzką, pro-

sto z Paryża. Panna Fanny L'oison była w swej ojczyźnie, najprzód gryzatką, potem zbankrutowaną modniarką, co wszystko jużciż wystarczało, aby zostać guwernantką dziewczyny polskiej.

A więc wyuczyła Kamilkę mówić po francuzku, a czuć po paryzku; to jest stroić się od rana do wieczora, zalotne rzucać spojrzenia, i gwarzyć bez końca o wszystkim i o niczem. Nauczała ją kłaniać się przyzwoicie, wchodzić i wychodzić z salonu z godnością, robić honory i *avec aisance*, rumienić się wedle potrzeby, i sztukować rozmowę wszystkimi francuzkami *helas!* które mają być dowodem sentymentalności dziewiczej. Sentymentalności zaś i praktycznego życia uczyła guwernantka wychowanie swoje z romansów francuzkich, które pomалу zapęłniły wszystkie półki biblioteki Żylenickiej, wypędziwszy z nich na strych wszystkie książki polskie, które ś. p. Wilewski po ojcu i dziadzie odziedziczywszy, własnymi powiększył dokupniami. W czytaniu romansów zachowała panna L'oison dziwnie logiczne następstwo; zaczęła bowiem od pani Genlis, pani Cottin i pani Montelieu, a skończyło się na Kocku poczeiwym, do którego sama miała słabość niezwykłą.

Wiadomości pożytecznych guwernantka nie uczyła, bo sama nic nie umiała.

Toteż w szesnastym roku Kamilla była najprzód śliczną dziewczyną o ciemnych włosach, szafirowych oczach i białości lic sentymentalnej.

Gwarzyła po francuzku wiele, płynnie i z dobrym akcentem; polski język był jej za twardy, nieokrzesany, a nawet nieprzyzwoity, to też używała go tylko ze sługami i z wujaszkiem, który przy niknących siłach resztę skąpych słów dopłatywał zparaliżowanym językiem.

Tańcowała cudownie, eterycznie i sylficznie, do czego miała metra z Wiednia sprowadzonego.

Grała na fortepianie *en perfection*; a same wielkie i trudne utwory Thalberga, Liszta, Majera i t. d. Dumki i melodie polskie jako utwory karczemne i gminne były jej nieznanne. Do muzyki miała nauczyciela Berlinezyka z spieczastą bródką i w złotych okularach.

Co do dziejów świata, umiała na pamięć wiele anegdot historycznych francuzkich, mianowicie z czasów Napoleona i jego *jeune garde imperiale*, której przez jakieś czute przypomnienie panna Fanny była wielką zwolenniczką. O dziejach swej ojczyzny i o rzeczach polskich nie wiedziała, bo panna L'oison twierdziła bardzo logicznie, że historia krajów i narodów politycznie nie istniejących na nic się nie zda.

Salonowość rozumiała z gruntu; to też prezento-

wała się *en reine*; ubierała się podług ostatnich Żurnalów paryzkich, a kłaniała się i ruszała *comme une petite fée*. Ale bo też pani Raińska idąc za radą panny L'oison, i za natchnieniem własnych pojęć, by teorię wesprzeć praktyką, otworzyła pyszne salony w Żylincach, na które nie tylko sąsiedztwo, ale nawet i miejskie zjeżdżały się sąsiedztwa. *La saison des bals* w zimie odbywała się hucznie w Żylincach; tańczono zawzięcie, i bawiono się doskonale w pałacu, gdy tymczasem pan Raiński w oficynach, między piekarnią i kuchnią, jęczał w niebogłosość. A nawet rozpowiadano sobie w okolicy na ucho, że gdy biedny paralytyk skończył umęczony żywot swój w tłusty czwartek, ukrywano śmierć jego aż do środy popielcowej, by wieść onej nie zepsuła hucznych ostatków. Wpółzgniętego pochowano w poście z wielką prozopopeją, nadętymi mowami pogrzebowymi, mnóstwem świateł jarzących i niemalym wydatkiem łez żalobnych.

Serce miała Kamilla miękkie, prawdziwie korónkowe. Tkliwość przytem niepospolita, westchnienie i łzy miała na podporządku przy każdym opowiadaniu smutnego zdarzenia jakiego. Do różnych właściwości tegowiekowych należy jeszcze temperament, o który się dzisiaj wszyscy pytają. Owóż temperameutu miała Kamilla bardzo wiele; spojrzenia jej były zabójcze, sataniczne.

Taką była Kamilla w szesnastym roku. Takie cudo zrobiła francuzka guwernantka z polskiej dziewczyny, i już tylko rok jeden dzielił ją od gorąco przez matkę pożądaną epoki, w której mieli się przenieść do stolicy, gdy jednego poranku letniego wpadła Kamilla do ciotki blada, z rozpuszczonymi włosami, oczami iskrzącymi się od łez natchnienia i temperamentu, ale zawsze w ślicznym batystowym negliżyku, i cudownym gwoździkiem pąsowym w ciemnych lokach, wijących się po alabastrowem czole i marmurowych licach: i głosem przerywanym częstymi westchnieniami, które wrywały się ciężko z pełnych a wpółodstonionych piersi, wyrzekła do niej swoją mową pstrokatą, na poły francuzką, a na poły polską, które przez wzgląd na większość czytelników miłujących zapewne ojczyzną mowę, tłómaczę na jednostajną mowę polską.

— Ciociu! ciociu droga! ja kocham! kocham! kocham szalenie!... i padła na miękki fotel w pół zemdląta.

— Kochasz?...

— Kocham miłością niepojętą, niepohamowaną i niesłyszana.

— Ależ kogo moja Kamilciu?...

— Kocham Władysława...

— Jakiego Władysława?...

— Władysława Żyleckiego...

Roześmiała się ciotka homerycznie.

— Śmiejesz się nieludzka ciotko... ale ja go kocham... i...

— Zastanów się Kamilciu, że to szlachcie czynszowy.

— Coż mi tam do tego... czyliż podobne miłości nie istnieją w Balzaku, w Eugeniuszu Sue, w Dumasie... a Kock. jakżeż cudownie opisuje rokosz wzajemnej miłości...

— To wszystko bardzo pięknie w romansach się wydaje, ale czyż pomyślał o tem, cobyto był za wstyd, być żoną szlachcica czynszowego, mającego półtrzecia chłopca i trzydzieści morgów pola.

— Ja nie mówię o małżeństwie, ale o miłości... wszakże bohaterki najslawniejszych powieści kochały się nieraz... choć nie zostały żonami swoich czarujących, zaślepiających urokiem nieznanym, kochanków...

Zadumała się na chwilę pani Raińska, i doświadczonym starej wszędobylskiej pani okiem spojrzała na rozplomienione lica romantycznej dziewczyny.

— Chciałażebys całować rączki pana porucznika i pani porucznikowej Żyleckiej, rodziców godnych twojego kochanka?...

— A pfe! oni tabakę zażywają; ale Władysław jaki piękny! jak ognisty! a jak maluje miłość... ja nigdy nie myślałam, że można tak mówić językiem polskim... a jakie mi czyta poezie... i to polskie ciociu! prawdziwie piękniejsze od listków jesiennych Wiktora Hugo, i od medytacji Lamartina...

— Uspokój się Kamillo!... to przejdzie... przestań widywać tego pana Władysława, bo nieuchodzi... niewypada... ja ci to wytłómaczę...

— Ach te wasze skrupuły! i on ma skrupuły, o których nigdy nie czytałam w romansach, bo miłość przecie jest wszechwładna, bezwzględna i wyjątkowa... Patrz ciociu! jak ja okropnie wyglądam... z miłości!

I pobiegła Kamilla do zwierciadła, by poprawić nieporządek włosów i stroju.

— Napij się oraniady moja Kamilciu! pomówimy o tem później... wszystko na świecie da się ułożyć, trzeba tylko postępować z przyzwoitością i rozumem...

I pocałowała ciocia zepsutą siostrzenicę w palące czoło rozognionej dziewczyny. I nastąpiły mnogie rozmowy i narady pani Raińskiej z panną L'oison, a w skutek nich uwagi logiczne i perswazie pełne

rozsądku, któremi okładano jakby zimnemi kompresami rozbudzony temperament dziedziczki kilkumilionowej.

Aby zrozumieć tę scenę, muszę opowiedzieć państwu, że na drugim końcu Żyliniec, wioski ciągnącej się po obu Prutu stronach, za Prutem pod górą, pod gajem świrkowym, w załomie zielonością umajonym, niedaleko strugi, która mruczając jak piękna kapryśnica płynęła po łące zielonej, po czystych kamykach aż w szumiący złapana łotok, poruszywszy kołem małego młynka wiejskiego, wpadała wreszcie do poważnych wód Pruta; wśród czarownej ostrowy panującej nad całą okolicą leżał prawdziwie polski dworek szlachecki, o słomianej strzesze, z drewnianym ganeczkiem i przyspą lepioną. A na dziedzińcu był gołębnik, po jednej stronie z trzaskami okrytą drewnianą obok, po drugiej zaś stronie stajenka i obora w bratniej zgodzie z skromnym gumnem, ku któremu rogate i nierogate bydło tęskne wyciągało oczy; i swobodnie po niem wrzaskliwe swe rozwodziły kłótnie zazdrośne kury czubate, butne koguty, gadatliwe gęsi i pyszne indyki; wkoło był częstokół z drewnianych w górze splecionych palów tak wysokich, że niktby przez nie przesadzić nie potrafił, ale za to tak rzadko i nierównie powsadzanych, że mnogie w nim różnej wielkości szpary zdawały się dowodzić przysłowia, które nigdzie tak prawdziwym się nie wydaje, jak przy wiejskich ogrodzeniach naszych, że kiedy nie można przeskoczyć, trzeba przeleść. W środku ogrodzenia były wielkie wrota drewniane na oścież otwarte zawsze, a dwie stare grusze po obu stronach były wiecznem zbiegowiskiem świegotliwych wróblów, i głośno sejmujących wron okolicznych. Na słomianej domu strzesze, głęboko zadumany bocian na jednej nodze oparty, spoglądał z góry na ten sielski obraz, którego był wedle prostych wyobrażeń wiejskim stróżem opiekuńczym. Za domkiem był sadek rozległy z bokami agrestowemi i środkową uliczką pożyczkową; a za sadkiem skromna pasieka, przytykająca jedną stroną o lasek, a drugą o grządkki spuszczone się w dół parowu jakby schody, zasadzone skarbami warzywnymi.

Byłto dworek należący do rodziny Żyleckich, która z dziada i pradziada była w posiadaniu tego futorku; mającego w rzeczy samej gruntów i poddanych daleko więcej, niżeli wyliczała pani Raińska w swej szyderskiej przesadzie. Pan Ignacy Żylecki był niegdyś porucznikiem, a nawojowawszy się, powrócił do ojców zagrody, ożenił się z poczciwą a ubogą szlachcianeczką, którą gdzieś na Mazurach poznał i po-

kochał, i miał syna jedynaka znanego już nam Władysława.

Dwór państwa Żyleckich był wyraźnem przeciwieństwem pałacu na Wielkich Żylincach, bo posiadłość porucznika nazywała się małemi Żylincami. O ile tam szło wszystko szumno, dumno, o tyle tu było cicho i skromnie; tam się wszystko działo po francuzku i z pańska, a tu po polsku i z szlachecka; tam zmieniano co chwila mody i zwyczaje, tu panował odwieczny a ucziwy obyczaj; tam była dumna pańskość w przyjmowaniu gości, tu zaś panowała serdeczna gościnność staropolska. Zgoła, a długoby o tem mówić potrzeba, była między dworami obydwojma różnica, jakąś szanowny czytelniku, jeżeli przebiegłeś kiedy obszerne naszej ojczyzny dziedziny, znalazłeś tylekroć, i zapewne nieraz westchnąłeś widząc tak wiele pałaców i półpałacików cudzoziemskich przy tak małej liczbie polskich dworów. Małpowanie cudzego, to niestety! nasz grzech pierworodny, za który gorzko a krwawo pokutujem od lat tylu.

Nie będę się wdawał w szczegółowe opisanie porucznika i porucznikowej, chociaż mi jakoś lubo a swojsko patrzeć, jak w wieczornej dobie zasięgał pocziwi staruszkowie przy płonącym kominie, i albo gwarząc sobie to o gospodarzu, to o jedynaku, to o czasach minionych, które stary rad zawsze opowiadać, a stara słuchać rada; albo stara zawarkocze na prostym kołowrotku, a stary rozmarzony starem dziejami jakby starem winem, przebiega znajome kartki kroniki jakiej. Mnie potrzeba powieści goni dalej; powiem więc tylko jeszcze słów kilka o panu Władysławie, którego już widzieliśmy raz u Karlińskiego. Co do powierzchowności, byłto piękny mężczyzna z twarzą prawdziwie polską, oddychającą szczerotą, która przemawiała z wyniosłego czoła otwartego; oczów błękitnych jak niebo, i czystych jak niebo w czasie pogody; i ust pełnych i ramianych, których uśmiech był pełen wdzięku; i nad tą piękną głową złocili się długie jasne włosy, których połysk zdawał się czasem otaczać głowę młodzieńca wieńcem natchnienia. I natchnienie widomie strzelało z oczów jego, gdy się zamyslił, lub gdy rozmową szczerą przemawiał słowami duszy. Bo Władysław był poetą myślami swemi i sercem, którego uczucia na wyścigi z myślą latały wysoko — ku niebu; i daleko — ku światu, ku ludziom, których chciałby kochać i uszczęśliwić. I nie był on poetą słów gładkich i pięknie brzmiących, jakich mamy tylu, ale poetą szczerych uczuć, które jeżeli wymownie płynęły mu z ust, to dla tego, że

miało niewyczerpane w jego duszy źródło. On był poetą słowem i czynem, pismem i życiem. A poezja jego była czysta i prawdziwa, bo swoja własna, natchniona pierwszemi życia wrażeniami swobodnemi, na łonie uroczej przyrody ojczystej, wśród gór, lasów, niw i rzek rodzinnych, z pomiędzy tych uczuć świętych domowych, i tych cnót patryarchalnych, które znamionują życie wiejskie prawdziwie szlachetnego szlachcica polskiego.

Taki był stan Władysława, gdy się zdybał z Kamillą. Znał ją dzieckiem jeszcze i pamiętał dobrze małą a ładną jak aniołek dziewczynkę, z którą chłopakiem bawił się nieraz. Bo póki rodzice Kamilli żyli jeszcze, pałac pański i dworek szlachecki w poczciwej z sobą żyli zgodzie. Jak to w naszych trafia się rodzinach, łączyło nawet jakieś dalekie, ale zawsze szanowane pokrewieństwo oba domy, a pani Żylecka była matką chrzestną panny Kamilli. Starszym będąc już chłopcem widywał Władysław rzadziej piękną krewniaczkę swoją, ale zawsze z uczuciem radości, podziwu, a nawet czułości, patrzył na te białe i śliczne, wesoło uśmiechające się lica, które miały dla niego powab silny, chociaż niezrozumiany. Gdy pierwszy raz ujrzał Kamilkę, która przez przyzwoitość i dla zabicia nudnego czasu odwiedzała czasami starych Żyleckich, zmieszał się dziecinny poeta na widok tylu wdzięków, tej niewymuszoności, którą zgrabna zalotność umie udąć doskonale, z jaką przybiegła do niego, porwała za rękę, uściskała ją, i rumieniąc się przywitała go słowami, które jej tak łatwo i pięknie płynęły z ust, bo nabrała ich niemało w pamięć z własnych salonów, z rozmów z ciotką i guwernantką, a mianowicie z romansów, a tak dźwięcznie brzmiały tym przyciskiem, który salon i nauczyciel śpiewu zdają się pożyczać od uczucia prawdziwego.

Coż dziwnego, że biedny Władysław rozkochał się szalenie, i nie naturalniejszego, że Kamilla sprzyjała tej miłości, a nawet sama pokochała pięknego Władysława.

On ją kochał miłością prawdziwą, miłością poety, który wszystko wokoło siebie odziewa w uroczesztaty swych wyobrażeń.

Ona go kochała miłością z romansów czerpaną, której z początku przez samą ciekawość chciała spróbować w życiu istotnem, a jak się to najczęściej kończy w przemianie zwykłej uczuć u takich salonowych zapalczywych czytelniczek romansów, zbudziła się w niej krew młoda, burzona obrazami czytanimi, niehamowana żadnem wędzidłem skromnego wychowania, a poruszona ciągłym wpływem tego

magnetyzmu niezaprzeczonego, jaki wywiera słowo miłośne, wzrok iskrzący, elektryczne dotknięcie ręki. i pokochała go na prawdę, miłością jakiej była zdolna.

On ją kochał duszą, ona go kochała temperamentem swoim. A chodzili z sobą często, błakali się gdzie się im tylko podobało, bo Kamilla wiedziała, że jest panią w Żylincach, a woli jej musiały ulegać i ciotka i guwernantka, obie mające własny interes utrzymania się w łaskach bogatej dziedziczki, Guwernantka nie chciała miejsca intratnego stracić, myśląc je zamieniać na miejsce poufnicy tajemnej; ciotka bała się rachunków przeszłości, a na przyszłość rozmaite przewidywała korzyści.

Wodził więc ją Władysław po wszystkich najpiękniejszych ustroniach, po których tyle razy marzył samotny, i ożywiał na nowo te wszystkie poetyczne marzenia, słowy, w które jakby w kształty mistrzowskiego tworu wlewał zapał własnej duszy, a czułością serca nastrojał mowę do dziwnie pojętego dźwięku.

Ona odpowiadała mu najbogatszym dykcjonarzem romansowym, o tych lekkich odcieniach bez liku, które dzisiejsi powieściarze potworzyli do oddania uczuć rozmaitych. I wystarczało to młodemu niedoświadczonemu poecie, który w jej oczach zalotnych widział miłość bez granic, a dźwięczne i gładkie choć próżne słowa romantycznej dziewczyny tłumaczył najnaiwniej na język własnej szczeroty. Bo poeta kochający jest naiwniejszy od małego dziecka; jestto święta naiwność wiary w drugich, ugruntowanej na własnej szczeroci.

I coraz namiętniejsze stać się musiały ich rozmowy, rozmowy któreby można śmiało nazwać rozmowami duszy i ciała. Władysław przedstawiał w nich duszę miłości, a Kamilla jej ciało. Rzecz dziwna! stosunek obojga miłości był zupełnie przewrotny. Władysława miłość miała skromną dziewczęcość naprzeciw co dzień ognistszej namiętności Kamilli. Władysław był dziewczęcą swoją nieśmiałością; Kamilla zaś mężkim i śmiałym krokiem postępowała za popędem swojej rozognionej wyobraźni.

Władysław ciągle nieśmiały, ledwo się odważył klęknąć przed nią, i ucałować rąbek mglistego szalika, który odsłaniając śnieżną pierś dziewczycy spływał aż do jej nóżki drobnej. Kamilla patrząc w dorodne lice młodzieńca, w iskrzące natchnieniem oczy jego, w te usta pełne, które dla niej lały nieprzebrany skarb jego myśli i uczuć, mimowolnie prawie przypomniała sobie wszystko co się naczytała w ro-

mansach o czarodziejskiej sile i wdzięku pierwszego pocałunku.

I pierwszy pocałunek lekki, powietrzny prawie spoczął na czole kłęczącego młodzieńca. Dwa rumieńce wystąpiły na obie twarze młodych ludzi: rumieniec uczucia na twarzy Władysława; rumieniec krwi na licach Kamilli.

Nie będę długimi słowy powtarzał wszystkich proteuszowych przemian tej walki szczególnej. Bo między nimi, w każdym ich widzeniu się, w każdej rozmowie była ciągła nieustanna walka, walka duszy i ciała, do której zrozumienia dosyć zda się powiedziałem.

Pierwsze zwycięstwo uzyskała Kamilla; bo pierwszy pocałunek Kamilli nie został pierwszym i ostatnim, ani też przemógł na sobie Władysław, by tych pięknych i rumianych ust nie odcałować nawzajem.

I trwała jeszcze ta walka szczególna, gdyśmy wprowadzili Kamillę wyznającą miłość swoją przed ciotką. Narady ciotki z guwernantką, a w skutek tychże obydwóch rozmowy z Kamillą zwiększyły tylko trudność walki, ale nic nie pomogły. Obie doświadczone panie zostawiły wolne pole rozognionej wyobraźni Kamilli, zachowując sobie zapewne zaradcze środki na ważniejsze pojawy tej namiętności, którą powstrzymać nie chcieli nawet. Wszak jakim bądź kosztem stać się potrzebnym bogatej dziewczeczce obydwóch było interesem. To tylko jej wy tłumaczyły jak najrozsądniej, że milionowa panna nie może zostać żoną gołego szlachcica na kilku chłopach, bo byto było śmiesznością, a świat piękny, świat wielki wszystko przebaczyć gotów, prócz śmieszności. Wszakże, mówiły jej po polsku i po francuzku, a zdanie swoje twierdziły przykładami słyszanymi w salonowych pogadankach i czytaniem w stu romansach najslawniejszych, wszakże poszedłszy za bogatego i znakomitego męża, będziesz miała i własny salon, i własny buduar i własną wolę; czyliż nie możesz mieć i przyjaciela, *qui te desennuyera* w smutnych chwilach.

To rozdwojenie idei męża i kochanka strasznie trafiło do przekonania Kamilli, która po długim namyśle rzekła nareszcie do nich:

— Zapewne!... żoną jego być nie mogę... ale go kocham...

— Tylko droga Kamilciu, nie łaż tak bardzo z nim, *par monts et eaux*; bo pominąwszy że to psuje pleć... ale *ma petite*, tacy ludzie jak on proszą, są śmieli i nie rozumieją się na delikatnych romantycznych uczuciach... Jestto moim obo-

wiązkim, dodała z wzrokiem zwróconym ku niebu jakby je wzywała na świadectwo swojej niesłychanej pieczołowitości nad siostrzenicą, — przestrzedz cię Kamileczko moja.

— *Oui! c'est notre devoir!* dodała Francuzka z westchnieniem, jakiego tylko bigotką jest zdolna.

— Nie znacie go! on śmiały! ha! ha! ha! rozśmiała się Kamilla i wybiegła z pokoju.

— *Il est trop bête, pour être dangereux!* rzekła po chwili guwernantka z przyciskiem dogmatycznym.

— *Et puis!* dodała ciotka, wznosząc wyraziście ramiona do góry. *Il faut bien que jeunesse passe!*...

Westchnęły obie panie, zapewne za wspomnieniami tej przebrzmiałej dla nich młodości.

— *Nous aviserons plus tard!*... mruknęła guwernantka...

— *Elle trouvera toujours un mari!* dodała z uśmiechem ciotunia; *nous ne pouvons pas cependant lui contredire!*

— *Je crois bien!* potwierdziła guwernantka.

— *Laissons faire la providence!* zakończyła ciotunia; guwernantka zrobiła krzyż, cichy amen doszeptala, i westchnąwszy raz jeszcze z całą pobożnością, poszły zacne damy ubierać się po raz trzeci tego dnia.

A Kamilla tymczasem już siedziała z Władysławem na lekkim baciku; i rozkołysani falą, rozkołysani powietrzem, które ich otaczało wonnem i wiosennem, rozmarzeni tą miłością im wspólną chociaż rozmaicie zrozumianą, płynęli po czystej Prutu wodzie na drugi brzeg ulubiony, gdzie większa swoboda, czystsze powietrze i tajniejsze nęca ich przechadzki.

— Kamillo! rzekł po chwili Władysław, opierając silnie wiośło o koniec batu; jeden ruch mocniejszy i moglibyśmy razem zginąć w głębiach tego wiru.

— Umierać już! zkądże ci taka myśl szalona, mój Władysławie? odpowiedziała Kamilla nie bez drzenia.

— Nie byłobyżto szczęściem umrzeć razem...

— Ale żyć razem;... rzekła pomału i ślicznie oczy swoje rzuciła zalotnie na kochanka.

— Czyliż wiemy co nam jutro chowa, co przyniesie godzina przyszła?... dziś jesteśmy szczęśliwi, dziś nam umrzeć razem...

— Szczęśliwi? w półpytającym głosem przerwała Kamilla, a pod jej wzrokiem zadrzał i zbladł Władysław.

— Płynmy dalej, szeptała ciszej Kamilla, a łódka strzając pomknęła ku krzemiennym brzegom.

I znowu poszli błąkać się po gaju, po borze,

po ostrowach zielonych, aż siedli wreszcie na ulubionem miejscu za pasieką, gdzie Władysław dla niej i dla siebie ułożył z darni siedzenie pod starą lipą rozłożystą.

I znowu mówili do siebie... Co mówili! czyliż mam pisać to nigdy zupełnie i w całości między kochankami niewyczerpane słowo: kocham.

— Kocham! mówił Władysław i rozumiał niebo pod niem.

— Kocham! odpowiedziała Kamilla i rozumiała ziemię pod niem.

I słychać było szmer tylko cichych słów i szmer pocałunków rozchodził się pomiędzy liście starej lipy.

I Władysław patrzył w niebo czyste nad niemi, i po niem śledził marzeń własnych roje, które od czasu do czasu słowami kochania tłumaczył.

A ona szczebiotała tak słodko i miło, że mimowolnie spojrzeć na nią musiał, a gdy go za rękę porwała, i przycisnęła do serca, wzrok jego spadł z nieba swoich marzeń szczytnych, by utonąć w płonącem burzą namiętą niebie ciemnych oczów kochanki.

Kto kochał i jakkolwiek kochał, zrozumie takie chwile i oceni je, czy się postawi w położenie Władysława, czy Kamilli; a kto nie kochał, temu martwy pozostanie każdy taki opis, bo nie zrozumie tej sceny cichej, w wiosnie życia, w wiosnie roku, wpośród woni i harmonii całej przyrody, pod zielonem sklepieniem rozłożystych drzewa konarów; a wyżej czyste sklepienie nieba, po którym czasem przemknie obłoczek biały o stu kształtach kapryśnych; a niżej lyszczące się wody rzeki, a nad nią siola i sady rozrzucone w uroczym bezładzie.

Przejdźmy więc milczeniem tę i wiele innych scen podobnych, które kochankom szybko przebiegły w Żylincach, i przeskoczywszy wiosnę i lato opowiem jeszcze jeden wieczór pogodny.

Był to już na początku jesieni; słońce utonęło ogniście w nurtach Prutu, cichość wkoło obsiadła; czasem tylko wiatr jesienny rozruszony w borach zapruckich zaszumił z lekka, suchem liściem po wszystkich sadach zaszeleścił, na wirze rzeczonym zapluskiał. Ciemno było w pałacu Żylenieckim; jedno tylko okno w górnem piętrze błyszczało światłem lampy, które po nad drzewa ogrodu, po nad topole okalające pałac, po nad ulicę wierzbową przypierającą do rzeki, świeciła zdala płynącemu łódką Władysławowi jakby ogień strażniczy kierujący jego wiosłem. Lecz Władysław długo nie zdawał się nań uważać, i leniwym tylko ruchem poruszał wiosło. Twarz jego była zmieniona; wyraz niepewnej tę-

sknoty wrył się w czoło i koło ust głębszym poważniejszym rysem cierpienia wewnętrznego. Z oczów jego nie strzela już ten płomień żywy, jasny, który zdawał się bić prosto z duszy, jako znamię tej niepokalanej szczerości. W oczach spuszczonej, w niepokojnem ich wejrzeniu osiadł wewnętrzny niepokój. I spojrzal przed siebie, ujrzał światło od okna pałacowego bijące i zarumienił się i zdrzął; była chwila niepewności, w której chciał wstecznie uderzyć wiosłem o ciche wody, lecz wnet gwałtownym ruchem pchnął łódkę naprzód i stanął u brzegu. I pobiegł znajomą ścieżką po pod wierzby ku furtce ogrodowej; furtka stała otworem. Wiedział o tem bo nie pierwszy raz wchodził on o takiej porze do ogrodu kochanki, a przecież oglądał się nieśmiało i ostrożnie postępował po ulicach ogrodowych, i drżał za każdym zaszeleściem liści suchych, które zdybywała noga jego.

Uspokojony milczeniem, szedł dalej spokojniejszy. Jakżeby się zadziwił i przestraszył, gdyby był dostrzegł że z akaciowego klombu, w którym było znane mu siedzenie kamienne, tysnęło za nim cztery oczów ciekawych.

A dwa głosy zcicha zaszeptały.

— *C'est encore lui!*

— Że się też Kamille nie zdruzzi ten romans tak długo się już ciągnący.

— *Croyez a mon experience; ça finira bientôt.*

— *Mais si...*

— *Eh bien!... elle est assez riche et grande dame pour avoir ses fantaisies...* I zachichotały z cicha ciotunia i guwernantka. A ciotka po chwili ciągnęła dalej jakby do siebie mówiła.

— I zawsze przez okno... chociaż wszystkie drzwi od ogrodu zawsze potwierane.

Władysław stanął pod domem; klasnął w dłonie; otwarło się okno pierwszopiętrowe, i z cichym szelestem spadły do stóp jego szczeble drabinki z sznurów robionej. Bo Kamille byłby się wydał romans niezupełny, gdyby kochanek wchodził drzwiami, nie oknem. Wszak ona była godna roli Julietty; a nawet nieraz w romantycznych marzeniach miała swemu Romeowi za złe, że niechce być zarazem Leandrem przebywającym rzekę wplaw.

Wskoczył Władysław przez okno, a Kamilla przyjęła go serdecznym uściskiem.

— Czegoż jesteś tak smutny?... zapytała go po chwili milezenia; nic nie mówisz do mnie?..

Władysław milczał, a oczy jego patrzyły na piękną dziewczynę w czarująco niedbałym stroju, z wyrazem miłości i żalu razem.

— Pójdź tu ze mną, do naszej ulubionej sofki. I poufale ciągnęła go z sobą.

— Kamillo postuchaj mię... .

— Czyliż cię zawsze nie słucham mój luby Romeo.

— Nie tu koło ciebie siedzieć powinienem, ale u stóp twoich pozwól niech błagam przebaczenia....

— Przebaczenia?... ja jestem przecie szczęśliwa mój Romeo... coż ci mam przebaczyć?

— Tyś anioł Kamillo!... tyś niewinne dziecię! i dla tego szczęście nasze wydaje ci się bez cienia... ale ja jestem występny; i złożył rozplomienioną twarz swoją klęczący młodzieniec na białych rękach kochanki.

Kamilla go ucałowała w czoło, i rękami starała się go podnieść i przyciągnąć do siebie.

— Kamillo droga, czas marzeń i pieszczot już nadto się długo przeciągnął... nadszedł czas czynu.

Skrzywiła się piękna dziewczynka milionów, bo i w miłości nie chciała być nudzona, chociażby przez najpiękniejsze słowa kochanka.

Dziwak jesteś Władziu!... rzekła z rodzajem niecierpliwości. Czegoż chcesz kapryśny? czyliż nie jesteśmy szczęśliwi?

— I nadto szczęśliwi kochanko! i dla tego zapominały o wszystkim; lecz mnie mężczyźnie w godzi się zapomnieć o tem czego biedna dziewczynko w swej niewinności nie pamiętasz...

Usta Kamilli otworzyły się z lekka, ale podobno nie do mowy, nie do westchnienia, ale do ziewnięcia.

— Rodzice moi wiedzą o wszystkim....

Ktoż im powiedział? krzyknęła Kamilla, i skończyła z miejsca tak gwałtownie, że Władysław ledwie się utrzymał na nogach....

— Ja sam!

— Ty? krzyknęła głośnie, i zbrzydła wyrazem gniewu, który strzelił z jej oczu.

Ty! powtórzyła... ty śmiałeś to im powiedzieć!... ha! to jest niegodziwie.

I biegając po pokoju, zapomniawszy roli swojej romantycznej; gniewała się jak prosta śmiertelniczka.

— Posłuchaj mię chwilę; ozwał się Władysław zmieszany tą zmianą tonu, który go zabolął w sercu.

— Chciałeś się pochwalić! .. to jest szkaradnie... oddał się... ja powiem twoim rodzicom i wszystkim, żeś skłamał niegodnie... i ktoż będzie śmiał posądzić mnie... mnie! powtórzyła i wzniosła głowę z dumą i pogardą. W tej chwili Kamilla była okropnie brzydka.

— Rodzice moi domyślali się; mówił Władysław z słodyczą pełną czułości, chociaż widok zmienionej kochanki ścisnął mu serce przecuciem złowrogim.

— Domyślali się... zapewne; domyślali się tego, czego by z duszy pragnęli. I uśmiech szydery do reszty zeszpecił jej twarz, gniew, dumę i pogardę wyrażającą.

— Kochanko moja! ty jesteś niesprawiedliwa... moi rodzice pragną tylko mojego szczęścia, i inaczej o niem sądzili w swoim doświadczeniu, niżeli ja w mojej nierozważnej lekkomyślności... Oni chcieli i zakleli mnie na to przywiązanie ich rodzicielskie, bym jutro wyjechał, i nie wracał aż za rok.

— I ty odjeżdżasz niewierny! zawołała Kamilla wpadając nazad w ton romantyczny bohatera, w

którym przebijała się jednakże czulsza nieco niepokojność kochającej dziewczyny.

— Ja ciebie porzucić nie mogłem; i dla tego musiałem rodzicom biednym odkryć, jakie mnie trzymają tu obowiązki...

— Obowiązki? zawołała znowu tragicznie Kamilla.

— Mówmy tylko o obowiązkach... bo my... nie my... ale ja... nadto długo o nich zapomniawszy wśród szczęścia uroczego, którem zarzekłaś mnie śliczna czarodziejko.

Kamilla udobruchana, porwała go za szyję i uściśnęła serdecznie.

— Mów! mów! mój Romeo!

— Wszystko już przygotowane moja Kamillo do ucieczki.

— Porwanie! krzyknęła Kamilla z iskrzącymi oczami; a duszy jej drżało to słowo *enlevement*, którego nieśmiała wymówić przy Władysławie, karcącym ją nieraz za mieszaninę mowy polskiej z francuską; bo w tej chwili ten w romansach używany i zużyty środek wydał się jej bardzo piękny.

— Ty wiesz, że inny nam nie pozostaje środek, ciotka nigdy...

— Nie! nie! ona tego nigdy wiedzieć nie powinna...

— Urządziłem wszystko do naszego wyjazdu... dziś wyjedziemy razem w daleką podróż...

— Podróż! razem! Coraz więcej romantycznej dziewczynie podobał się plan Władysława.

— Na Wołoszczyźnie mam przyjaciela... do niego pojedziemy... a tam Kamillo droga zostanie w obliczu Boga i prawa mężem twoim.

— Mężem!... zawołała przeciągniętym głosem bohaterka romansowa, i dziwny wyraz wystąpił na jej twarzy... Więc to jest plan ułożony przez ciebie i rodziców twoich!

— Czyliż może być inaczej? zapewne byłabyś szczęśliwsza, zapewne, gdybyś mnie była niepoznała i nie pokochała... ale teraz... moim jest obowiązkiem uprawnić nasz związek

— Plan niezły!... mówiła dalej Kamilla głosem niepewnym.

— Czyliż ty mię nie kochasz już? zapytał Władysław, który nie mógł pojąć dziwnego usposobienia swojej kochanki...

— Ja cię kocham Władziu! kocham szczerze... i dałam ci tego dowody...

— Kamillo! nie wzmagaj wyrzutów sumienia, które mię dręczą.

— Darmo się dręczysz mój Władziu! dajmy pokój tym planom wszystkim które, chce wierzyć, że nie wyszły od ciebie...

— Nie odemnie? ja ciebie nierozumiem.

— Na co nam tych związków... czyliż nie jesteśmy dosyć szczęśliwi?...

— Władysław nie już nie odpowiadał; zdumienie nieme i okropnie bolące go w sercu przemawiało mu tylko z twarzy.

— Ty Władziu nie możesz być mężem moim... wszak rozumiesz to... nasze stosunki majątkowe i towarzyskie dzielą nas... bo i coży świat o tobie powiedział... nie zarzuciłżeby tobie... że ciebie mój znaczny majątek znęcił.

— Kamillo, niekończ! nie zabijaj do reszty złudzeń moich!...

— Władziu kochany! tyś dziwak! ty jesteś tylko poeta... ja ciebie pewnie szczerze kocham, i najlepszy tego daję dowód, że mimo to wszystko, co mi przepowiedziały i ciotka i panna L'oisson, że ty pragniesz tylko mojej ręki i mojego majątku... wierzę święcie w to że ty mię kochasz dla mnie samej... zostawmy więc plany wszystkie... i używajmy swobodnie chwil szczęśliwych jakie nam użycza przeznaczenie....

Kamilla mówiła z wymową zapalczywą, jej się zdało że dopiero w tej chwili stanęła na wysokości prawdziwej bohaterki romantycznej. Władysław zaś milczał ciągle; twarz tylko jego zdradzała uczucia wewnętrzne; żal pomatu zdawał się przybierać coraz więcej wyrazu cierpkości, graniczącej o pogardę, jakiej jeszcze w życiu nie doznał dla nikogo.

— I czyli myślisz Władziu, że bybyś szczęśliwy ze mną?... dla ciebie, mój śliczny i kochany poeto, nie jest żona... światowa... bogata, której przeznaczeniem zostać na stanowisku salonowem, jakie jej dało przeznaczenie. Za kilka miesięcy skończę siedmnaście lat i pojedę do stolicy... znajdę wkrótce męża... którego nazwisko i towarzyskie położenie będzie odpowiadało wszelkim przyzwoitościom... a ty mój Władziu, przyjedziesz także do stolicy... i zostaniesz... ja ci miejsce wyrobię w salonie moim, który spodziewam się zostanie wnet pierwszym salonem... będę żoną drugiego... ale ty mój Władziu będziesz zawsze... moim Władziem... moim kochankiem!... Czyliż ci to nie wystarczy mój kapryśny Romeo?... pocałuj luby swoją Juliette... Coż ty myślisz?... dlaczegoż tak na mnie patrzysz dziwnie!...

— Ja ciebie żałuję Kamillo! boś w jednej chwili zdołała zabić najczystsze uczucie, jakie zdobyłaś w życiu swoim. Wymówek robić ci nie będę... Bądź zdrowa...

Długo jeszcze trwała rozmowa; lecz w końcu odszedł Władysław ze zboląłem sercem, ale pogarda dla Kamilli przemogła, i dlatego w salonie pana Karlińskiego rzucił na nią wzrokiem tak pogardliwym. A Kamilla wnet się pocieszyła.

Takie było zakończenie romansu panny salonowej; rzućmy teraz okiem na pierwszą miłość dziewczyny z gminu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Kronika literacka.

Biblioteki naukowego zakładu imienia Ossolińskich drugi zeszyt zawiera: 1) Synowie Gedymina, przez Kazim. hr. Stadnickiego. 2) Spostrzeżenia nad językiem polskim, służyć mogące do jego gramatycznego i historycznego rozbioru, przez Adama Kłodzińskiego. 3) Przegląd dzieła: Opisanie historyczno-statystyczne W. X. Poznańskiego — wydanie Bobrowicza, przez W.P. (Dokończenie.) 4) Ustęp z pieśni Życia i Miłości, przez Jakuba Zakrzewskiego. 5) Siedm listów n. Ignacego Krasickiego. (Dokończenie.) 6) Uwagi nad teatrem polskim we Lwowie, przez

J. D. 7) Rozmaitości: Prelekcje języka i literatury polskiej na uniwersytecie lwowskim. Nowe zjawiska w naszej literaturze nauk przyrodzonych. Prelekcje geologii na uniwersytecie lwowskim. Towarzystwo gospodarskie galicyjskie. Nauka przygotowawcza dla gospodarzy rozumowych prof. Kunzeka. Przegląd literatury roku zeszłego. (Dokończenie.)

Zeszyt III, zawiera: 1) xiągdz Piotr Skarga; szkic historyczno-literacki, przez W. A. Maciejowskiego. 2) Spostrzeżenia nad językiem polskim, przez Adama Kłodzińskiego. (Ciąg dalszy.) 3) Przegląd dzieła: Listy o Szwecji, pisane przez Eustachego hr. Tyszkiewicza. 4) Z dramatu historycznego, „Jerzy Lubomirski“ przez K. Szajnochę, akt 1. 5) Rozmaitości: Nowo wyjęte mające dzieło geologiczne Ludwika Zejznera. Korespondencja z Krakowa. Sprostowanie wiadomości o Wapowskim. (P. prenumeranci mogą należące im się zeszyty odebrać w kancelarii Zakładu).

W Poznaniu wyszły: „Józefa Chwaliboga zarysy myślenia z wiary.“ Tłókiem Walentego Stefańskiego 1846. stronic VII. 288. w ósemce, z popiersiem autora.

Zmarły dnia 14. lipca 1841, w młodym wieku, autor, którego uczona publiczność poznała najprzód, z powodu pielgrzymki do Jeruzolimy odbytej, z dzieła Ignacego Hołowińskiego, zostawił niniejsze swedzieło u jednego z swoich przyjaciół, i ten, po kilkoletniem przechowaniu, wydał je teraz z króciuchną przemową, z której wyjmuję następujące słowa, jako charakterystykę dzieła samego.

»Pisząc to dzieło, autor nasz zatapiał się głęboko w myśl swoje, ścisłał ją po wszystkich jej zwojach i odcieniach, był zawsze jej panem aż do ostatniego kresu. Lecz czy równie szczęśliwie oddał jak dobrze pojął? Czy był równie dobrym artystą, jak głębokim badaczem?... Nie wszystko między ludźmi w równi z sobą idzie, więc trudno jest wymagać w tem samem dziele wszelakiej doskonałości. Atoli przestrzegamy krytykę, że są groby marmurowe pełne okrasz budowniczej, które jednak trupów w sobie chowają; i są świątynie z wierzchu niepozorne, które jednak mieszczą w sobie Boga żywego.«

Rozmaitość.

W dniu, który ogłoszenie królem Jana III poprzedził, a podanie jego za kandydata wszystkim już wiadome było, gdy kilku przyjaciół tego bohatera jego się polecało pamięci, a on im swoje względy zapewniał, przystąpił także poufały jeden dworzanin, i swoje mu oświadczywszy uniżoność, spytał: czego by się też od niego mógł spodziewać? Rzekł mu Sobieski: robię cię królem cygańskim. Dworzanin odpowiedział na to: proszę pamiętać, iż gdy korona jeszcze niepewna, wypadłoby na wszelki przypadek tę drugą do jakiegoś czasu mieć w zapasie. Przyjaciół Sobieskiego oburzyła niepomatu śmiałość takowa, i gdy głośno szemrać zaczęli, dworzanin nietracąc przytomności, odezwał się do nich: Mości panowie! król z królem jak się poróżnili, tak się zgodzą: a to, co pomiędzy monarchami zaszło, waćpanów bynajmniej obchodzić nie powinno.

Do tego numeru dotychczas są kroje sukni i wzory rozmaitych robot damskich.